

Przeżyłem. Nie lękam się

Wróciłem szczęśliwie z Charkowa. Ale nie spodziewałem się, że to tu, w Warszawie, też jest jakiś front – mówi „Rzeczpospolitej” **dr h.c. Jan Malicki**, dyrektor Studium Europy Wschodniej UW.

RUSŁAN SZOSZYN

Co się wydarzyło 19 grudnia 2024 roku w Parku Kazimierzowskim w Warszawie?

Tego wieczora mieliśmy dużą naradę kierownictwa Studium Europy Wschodniej (SEW UW) w restauracji przy ul. Browarnej. Omawialiśmy dwie kwestie. Jedna była związana z obchodami 35-lecia Studium, które będziemy obchodzili w 2025 roku. Poza tym mamy 100. rocznicę przedwojennego Instytutu Wschodniego w Warszawie. Rozmawialiśmy prawie cztery godziny, skończyliśmy późno. Żartobliwie mówiąc – mnie zgubiła grzeczność. Uznałem, że nie mogę zostawić samej kobiety, uczestniczki narady, która czekała na taksówkę. Koledzy już wcześniej przeszli na drugą stronę ul. Browarnej. Ta taksówka przyjechała o 22.15 i wtedy również i ja poszedłem przez Park Kazimierzowski w kierunku ul. Obożnej (mieści się tam część lokali i parking SEW – red.). Skończyło się to poważnym urazem głowy i w efekcie mam trzy skutki: pęknięcie kości czaszki, dwa krwiaki i wstrząśnienie mózgu. A to powoduje, że m.in. ginie pamięć.

Co pan pamięta?

To są jedynie fragmenty pamięci, choć tu jest stała poprawa. Idąc przez park, zwróciłem uwagę na pięknie oświetlony pomnik podziemnej służby nauczycieli polskich w czasie wojny. Pamiętam też, że potem w całym parku było bardzo ciemno. Przypomniałem sobie moje pytanie: „jak to jest możliwe, by w publicznym miejscu było tak ciemno”. Przechodziłem obok kępy roślin, chyba cisy. I stamtąd

wyszło dwóch „policjantów”. Mieli na sobie mundury, które ja uznałem za mundury policyjne. Jeden z nich zapytał mnie, jak się nazywam. Uznałem, że policjant ma prawo wychodzić nawet zza krzaków i pytać. Gdyby nie ten mundur, pewnie przyśpieszyłbym kroku i poszedłbym dalej. Ale w tej sytuacji odpowiedziałem. Dalej już nic nie pamiętam. Odzyskałem przytomność na noszach karetki pogotowia o godz. 22.41. Przez 20 minut leżałem na chodniku. W tym miejscu była wielka kałuża krwi. Nie wiem, kto wezwał karetkę pogotowia.

Czy ten przebieganiec, który zapytał pana o imię, był Polakiem?

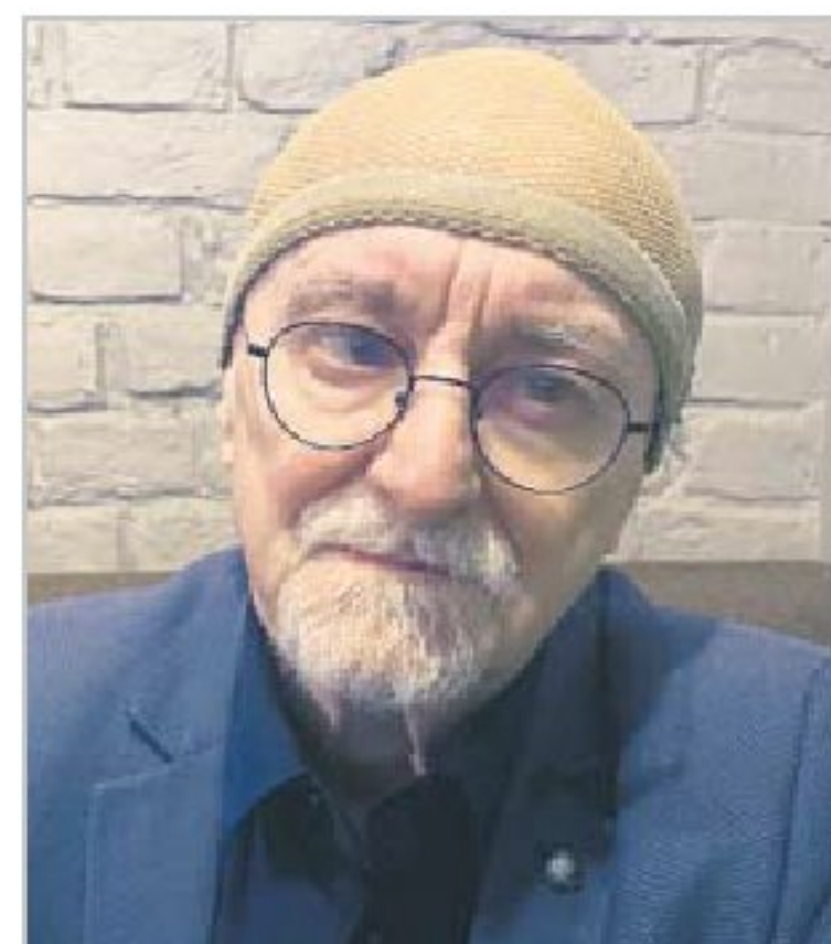
Nie. Na pierwszym przysłuchaniu zapytano mnie, czy były to osoby ze Wschodu? Odpowiedziałem, że chyba nie. Ale pomału wraca pamięć i dzisiaj już wiem, że był to ktoś ze Wschodu, bo zadano mi następujące pytanie: „Jak pan nazywa się?”. A tu jest błąd w składni. Polak zapytałby: „Jak pan się nazywa?”. Stale stykam się z ludźmi ze Wschodu, więc wtedy nie zwróciłem na to uwagi. Gdy podałem w odpowiedzi swoje imię i nazwisko, usłyszałem jedynie „ok”. W Polsce młodzież mówi „oki”, a starsi powiedzą „okej”. Jedynie ktoś z Białorusi czy Ukrainy użyje tego „ok”.

Albo z Rosji.

Tego nie wiem. Wiele lat już tam nie byłem, zakaz wjazdu. Ale z tej krótkiej rozmowy wnioskuję, że co najmniej jeden z nich pochodził ze Wschodu. Drugi tylko stał, nic nie mówił. Nie wiem, czym zostałem uderzony, chyba czymś twardym i tępym. Z obdukcji lekarskiej wynika, iż to „podwójna rana tłuczona”.

Czy chcieli pana zabić?

Moim zdaniem nie. Bo gdyby to był rzeczywisty zamach, to bym już nie żył! Była to fachowa robota. Gdy dwa dni później pojechałem tam z bardzo profesjonalną osobą zrobić coś w rodzaju



MAT. PRAS.

wizji lokalnej, park już wtedy był rześkie oświetlony. A w dniu, gdy to się ze mną stało, nie świeciła tam żadna lampa! Dlaczego? Muszę odrzucić też wątek chuligański, bo nie zabrano mi pieniędzy, a miałem w kieszeni sto złotych, nie zabrano telefonu, niczego. Być może zginął mi tylko parasol.

W trawie, obok plamy krwi, znaleziony został urwany pęknięty na pół guzik od mojej marynarki oraz moje okulary – oba szkła wypadły: jedno jest pęknięte, na drugim krew. I to dowodzi pośrednio, że zapewne z powodu ataku, ja upadłem naprzód. Dodajmy tutaj, że żaden przedstawiciel środowisk uniwersyteckich czy nauki i analityki od czasu niejasnej śmierci Marka Karpia (w 2004 roku – red.) nie miał takiej podejrzanej sytuacji jak ja.

Co więc, według pana, chcieli osiągnąć napastnicy?

Myślę, że jeśli analiza jest właściwa, był to zapewne

napad służący przestraszeniu mnie, przestraszeniu Studium i, być może, białoruskiej emigracji w Polsce. Zwłaszcza że nadchodzi kolejne wielkie fałszerstwo (Aleksander Łukaszenko przeprowadza wybory prezydenckie 26 stycznia – red.). Tak uważa większość dyskutantów. Ja jestem jednak bardzo ostrożny, bo wciąż niewiele pamiętam. Więcej zapewne powiem, gdy wrócą kolejne obrazy.

Rozumiem, że policji dotychczas nie udało się zatrzymać sprawców?

Nie. Myślę, że jeżeli to byli fachowcy, to nie zostaną złapani. Kamer w parku nie ma. Nie wiadomo więc, gdzie oni teraz są.

Geografia działalności SEW wykracza daleko poza granice Białorusi. Studium otworzyło drzwi do nauki w Polsce także wielu Ukraińcom, mieszkańcom Kaukazu, Azji Centralnej, ale też Rosjanom.

Powtarzam tylko tezy, które podnosiła większość dyskutantów. Przede wszystkim z uwagi na prowadzony przez SEW „Program im. Kalinowskiego” (od wielu lat umożliwia represjonowanym białoruskim studentom kontynuowanie nauki w Polsce – red.). Od tego programu zaczęły się ataki na Studium i na mnie osobiście, od 2006 roku.

Wielokrotnie miałem przebijane koła w samochodzie, i to na UW, demonstracyjnie w ciągu dnia. Po to, by postraszyć i pokazać, że oni mogą wszystko. Były też inne historie inspirowane przez reżim białoruski.

Zdaję sobie sprawę, że mamy w Studium znacznie więcej „grzechów” niż tylko sprawy białoruskie. Do

największego ataku na SEW doszło w 2014 roku w rosyjskiej rządowej agencji RIA-Novosti. Twierdzili tam, że jesteśmy instytucją założoną przez CIA i że nasza działalność naukowa jest wyłącznie tzw. przykrywką. Przekonywali, że sprowadzam stypendystów wyłącznie po to, by ich szkolić i przygotować do rozbięcia Federacji Rosyjskiej.

Przez SEW przewinęło się niewielu Rosjan, ale rosyjskie służby czy tamtejszy MSZ patrzą na całą postsowiecką przestrzeń. W Moskwie nie są w stanie zrozumieć, że SEW kształci stypendystów, żeby pokazać im polską i europejską demokratyczną naukę. W ich mniemaniu to musi być kształcenie agentów. Artykuł RIA-Novosti został przedrukowany we wszystkich krajach, w których mają wpływy. Ukazał się po rosyjsku i w estońskiej Narwie, i nawet w Bułgarii.

Co ten afak zmieni w pana życiu?

Po za tym, że muszę uporać się z problemami zdrowotnymi, muszę wchłonąć się krwiaki i muszę zrosnąć się kości czaszki, ten atak niewiele zmieni. Studium jest, przy wielkim wsparciu współpracowników, jednym z dzieł mojego życia. Skoro przeżyłem, to nie po to, żeby się zamknąć w gabinecie. Nie lękam się, zatem muszę robić swoje. Jestem wszakże człowiekiem rozsądnym – Jan Malicki boi się tak samo, jak i każdy inny człowiek. Zatem teraz, po tym, co przeżyłem, będę dużo bardziej ostrożny.

Sprawcy albo mocodawcy tego ataku zapewne przeczytają naszą rozmowę. Chciałby pan coś im przekazać?

Komunikat pierwszy – przeżyłem! Komunikat drugi

– nie odpowiadam za innych, ale nie spodziewam się, by wystraszyła się emigracja białoruska, ukraińska, rosyjska czy jakaś inna w Polsce. Oni też będą dalej robili to, co robią. A i SEW dalej będzie prowadziło swoją działalność. Mamy już tysiące absolwentów stypendiów. Będę jednak zachowywał się znacznie ostrożniej, a i Studium również zwiększy środki ostrożności. Kiedy odzyskałem przytomność w karetce pogotowia, to pierwsza rzecz, która mnie zmartwiła, to było to, że napisałem tak mało listów pożegnalnych.

Ale tu podkreślę, że te listy pożegnalne przygotowywałem, jadąc do Charkowa, bo to w końcu tuż obok frontu. Brałem pod uwagę, że mogę nie wrócić. Były to listy bardzo osobiste, także rodzinne, ale też list w sprawie dalszych losów SEW, który miał trafić do rektora UW. Wróciłem szczęśliwie z Charkowa. Ale nie spodziewałem się, że to tu, w Warszawie, też jest jakiś front.

Skoro przeżyłem, a w pewnym momencie lekarze stwierdzili, że „zagrożenie życia minęło”, to ja choć wielki grzesznik, ale wierny syn świętego Kościoła, zadaję sobie pytanie: jakie jest zatem zadanie dla Jana Malickiego? Wzruszająca była skala reakcji ludzi, którzy pisali i dzwoniли do mnie i do Studium z życzeniami życia i zdrowia. Z Białorusi, Gruzji, Ukrainy, Rosji, Kaukazu, z Zachodu. To m.in. nasi absolwenci i współpracownicy. Nie mam więc wątpliwości, że przez te ponad 30 lat robiłem ważne rzeczy. /©©

Jan Malicki od 1990 roku stoi na czele Studium Europy Wschodniej UW. W 2013 roku został laureatem XIII edycji Nagrody „Rzeczpospolitej” im. Jerzego Giedroycia.



Pełna wersja rozmowy
rp.pl